ILUSTROWANY PRZEGLĄD TYGODNIOWY

Wychodzi w każdą niedzielę
w
Krakowie • Wiedniu • Mor. Ostrawie

Rocznik I. 28. listopada 1915 Nr. 51.

Redakcya, administracya i ekspedycya Morawska Ostrawa, ul. Johannyego 5. Tel. Nr. 163. Rękopisów się nie zwraca.

Cena numeru 20 halerzy
Prenumerata kwartalna . . K 2·50
Prenumerata półroczna . . K 5·—

Ceny ogłoszeń: Cała strona 100 kor., 1/2 strony — 50 kor., 1/4 strony — 25 kor., 1/8 strony — 12·50 h. i t. d. Przy kilkakrotnem zamieszczeniu wysokie rabaty.

W zaduszny dzień nad grobami poległych.

Transport jeńców rosyjskich

Przegląd tygodniowy.

Z upadkiem Serbii wojna weźmie całkiem inny obrót.

Państwa czwórporozumienia nie działają ręka w rękę, bo każde ma inne aspiracye przez lata wytworzone, a już co do Dardanell są wszystkie rywalami.

Te sprzeczne plany nie dadzą im iść zgodnie przeciw środkowej Europie, inaczej byłyby Węgry dawno w ich ręku, a droga obecnie wolna na Konstantynopol byłaby na wieki założona, a egzystencya państw niemieckich na zawsze podcięta.

Teraz zapóźno ten błąd naprawić, dlatego każdy z tych wrogów pilnuje swoich granic i tylko dla formy śle trochę wojsk na pomoc Serbii — wiedząc z góry, że Grecya tych wojsk nie przepuści, a Serbów wprost rozbroi, gdy zbiegną na jej terytoryum.

Już Anglicy są wprost bezwzględnymi dla wojsk zaciężnych z Indyj, ba nawet dla swoich.

Pod Loos, Neuvechapelle i Sur Labai general French pędził wojska do ataku, choć trzy dni o głodzie maszerowały; innym razem własne oddziały pędził w środek trujących gazów, że padały jak muchy od własnych towarzyszy i od ich pocisków trujących. Gdy raz zwracano dowódzcy angielskiemu uwagę, dlaczego prze indyjskie pułki w oczywistą zagładę — odrzekł ze spokojem: »Ah, to tylko Indowie«.

Takie prowadzenie wojny, takie masowe wyniszczanie ludności, jakie teraz Rosya prowadzi — winno znaleźć karę i zemścić się musi.

Już narody i parlamenty wszystkich naszych wrogów nawołują do pokoju, winę spowodowania wojny zrzucają na innych, i agitatorzy usuwają się po jednemu, zostawiając miejsce pokojowo usposobionym.

Niezdobycie Dardanell, upadek Serbii, bunty w kraju — przygotowują powoli akcyę rozjemczą.

Tylko Austrya i Niemcy ani słowem w swych Izbach nie wspomniały dotąd o pokoju, bo nie czas nań jeszcze.

Jak złoty promyk wpadło w nasze serca połączenie wszystkich Legionów w jedno ciało, a tę zapowiedź lepszego jutra eksc. Durski lekko potrącił, zaogniając do ostatecznego zwycięstwa.

Dlatego na bok prywaty, małostkowe swary; krzepmy się i jednoczmy, aby, gdy przyjdzie czas, Pan nie zastał nas, jak owe śpiące dziewice, nieprzygotowanych. Dziękujmy Wszechmocnemu, że nie podzielamy losu milionów, pędzonych jak bradiagi ku Sybirowi, przygotujmy im ogniska, gdy wrócą, bo wrócą z pewnością.

Jedność, praca i cierpliwość — tego tylko potrzeba, a kraj nasz piękniejszym niż kiedykolwiek z gruzów zakwitnie. P.

Z Polski i Litwy.

Straszne położenie wygnańców polskich w Rosyi. Od wczesnego rana ciągną lasami, dolinami 3 miliony ludzi, wypędzonych z tysięcy miejscowości, na wozach, obładowanych całym dobytkiem, dziećmi i chorymi, a obok, powłóczystym krokiem zdążają mężczyźni i kobiety. Wiele ginie z uduszenia, wśród pak, na wozach, inne umierają na tyfus. Wynędzniałe i głodne, ze strachem w wypłakanych źrenicach wędrują biedne, obdarte i bose dzieci, ssące swe ręce... Który z tych nędzarzy umrze, pozostaje nie pogrzebany. Tysiące ulegają temu losowi, tak, że mimo napływu nowych wygnańców, nie znać tego przyrostu. Kto nie może już iść dalej, tego zachęca bezlitosna nahajka kozaka. Na drodze z Kobrzynia do Pińska, na przestrzeni 12 kilometrów, leżą tysiące niepogrzebanych, zmarłych na cholerę. Podczas odwrotu 13-go korpusu rosyjskiego uciekające wojska tratowały bez miłosierdzia biednych wygnańców. W ten sposób ginęły całe rodziny.

»Nowoje Wremia« z dnia 28. ub. m. donosi, że prezes główny rosyjskiego Czerwonego Krzyża zwrócił się do prezesa Związku rosyjskich miast w Petersburgu, hr. Tołstoja, z prośbą o wysłanie mu ciepłej odzieży dla 100.000 wychodźców, z których około 35.000 żyje w lasach niedaleko Mińska. Widok tych nieszczęśliwych rodzin, błąkających się po lasach, przedstawia obraz okropny. Obdarci, pozbawieni wszystkiego, co do życia jest niezbędne, przebywają nędzarze ci w szałasach, zbudowanych naprędce, kryją się po norach i cierpią okropnie z powodu braku ciepłej odzieży. Dzieci, niemowlęta chorują; śmierć zabiera setkami codziennie. Groza sytuacyi wzrasta z każdym dniem. Tysiące pędza żywot w napół dzikim stanie, skazani na zagładę, o ile pomoc nie przyjdzie jak najprędzej.

MATKOM ŻOŁNIERZY.

Ludzie, dobre wasze chęci,
Lecz nas nie żałujcie wcale.
Z nas tu każdy tryumf święci
Co godziny, gdy w zapale
Widzi, jak w niewolę wzięci
Nam zazdroszczą w dzikim szale.
Nam tu lepiej w naszych rowach,
Niż niewolnym w ich okowach!

Nikt nie mrugnie nawet okiem,
Choć koło łba kulki piszczą,
Ziemia miesza się z obłokiem,
Z dział pociski jęczą, świszczą,
Krew przewala się potokiem —
Kraje całe się wyniszczą. —
A my w obcy kraj bez tremy,
Przez śnieg, błoto naprzód brniemy.

A gdy kogo granat zmiecie,
On nie czuje; westchnie: »Boże!«,
Padnie cicho gdzie na śmiecie
I żałuje, że nie może
Dalej iść. Aż w lazarecie
Złożą go na białe łoże.
I wesoły list w dom pisze:
»Ja za wojną jeszcze dyszę«...

Wszakże wojna w krwi nam leży!
Więc nas nie żałujcie, ludzie —
Lecz żałujcie tych macierzy,
Co po całodziennym trudzie
Każda noc bez snu przeleży
I nadzieję widzi w cudzie,
Co jej cało wróci dziecię,
Jej pociechę na tym świecie.

Tych żałujcie naszych matek,
Co wciąż drżą o synów życie —
Cierpią głód i niedostatek,
A nam dary ślą sowicie.
W ciągłym strachu, że gagatek
Przeznaczony na zabicie.
Wie, że już go nie zobaczy —
Posiwieje aż z rozpaczy.

Lecz syn wróci pełen chwały,
Może nawet nie kaleką —
Inny: męski dojrzały,
A myśl jego hen, daleko
Będzie biegła w stepy, skały,
Gdzie się zmagał z wrogów rzeką —
Ale matka, Boże Panie,
Z białym włosem pozostanie.

Dr. P.

W Rocznicę Listopadową.

»Kto żyć umie — ten nigdy nie umiera«.
(Krasiński).

Ilekroć się przegląda »złotych myśli przędzę i tych uczuć kwiaty«, jakie złożyli wielcy mężowie narodu w arkę ojczystą, ilekroć się czyta karty naszej świetnej przeszłości, ma się świadomość bolesnych wrażeń, co niby żywe serce biją i drgają w umyśle każdego Polaka, albo też jak ostre dłuto niezatarte ryją ślady. Bo i gdzież ta Polska Bolesławów i Kazimierzów — gdzież Polska Jagiellonów i Złotego wieku? Niema królów do rządu, niema senatu do rady, niema rycerstwa do obrony granic ojczyzny. Upadła Polska niezgodą i nierządem — a Skarga upominał, że duch zmalał w narodzie, serca się zbrudziły prywatą, co niby olbrzym wyrosła i była silniejszą nad wszystko. Tylko krzywda chodziła po wsiach i chatach i piła gorzkie ludu polskiego łzy...

A tu powstają nowe ościenne państwa, co się szybko rozwijają, prą naprzód, niby fale niepowstrzymane, grożąc ojczyźnie niebezpieczeństwem. Pojedyncze jednostki myślą o ratunku, ale złowrogie »liberum veto« unicestwia pracę.

I przyszłość staje się coraz ciemniejszą — piętrzą się zewsząd chmury, aż przychodzi powolny upadek. Budowa Piastów i Jagiellonów idzie w ruinę. Niema hufców rycerskich, co Polskę broniły i swemi piersiami osłaniały Europę, będąc wałem ochronnym i przedmurzem chrześcijaństwa. I zdało się, że wszystko mija bezpowrotnie.

Aż oto z poza chmur zwątpienia, huraganu win i upodlenia, wskutek brania »jurgeltów« przez ciemne duchy, pobrzękujące nie szalbą, ale kiesą, napełnioną złotem przez obcą potencyę, przychodzi jakaś moc i duch nowy, budzi się życie nowe, a jakiś głos tajemniczy wzywa naród do pracy. Trzeba budować nową Polskę, trzeba rozpalić tysiące świateł, trzeba dać nowe prawa i ten lud wiejski podnieść do godności obywateli. Uczynił to Sejm czteroletni, którego koroną była Konstytucya 3-go Maja, ogłoszona narodowi, a zaprzysiężona uroczyście przez króla. Zdało się, że słodki czar wiosny idzie i sieje złoty pył słonecznych promieni, przynosząc ruń nadziei lepszej przyszłości.

I na kruczy okrzyk wrogów: »zginiecie!« odpowiedział Trzeci Maj: żywi i silni jesteśmy! To zrozumienie bohaterów Sejmu czteroletniego — to zaiste najświetniejszy moment w historyi narodu polskiego, to największy szczyt patryotyzmu.

Lecz nie ostała się długo Ustawa Majowa. Targowica, którą zawiązali źli rodacy, zmiotła uchwałę Konstytucyi. Upadła Konfederacya Barska, powstanie Kościuszkowskie, Legiony. A i późniejsze powstanie listopadowe nie przywraca Polsce niepodległości. Zaczyna się jedno nieprzerwane pasmo martyrologii narodu polskiego, przechodzącego ustawiczną Golgotę. Tylko duszę targa i szarpie ból niezmierny, a i w przyszłości niema nic, prócz runów bólu i udręki.

I zerwał się naród do broni, pomny dni swej chwały. Przegrał wprawdzie walkę o wolność, ale został posiew krwi, z której w czasie obecnym zrodził się mściciel w postaci Legionów polskich, jako zaczątku przyszłej armii polskiej. Bo kto wie, czy nie większem nieszczęściem narodu mogłoby być ciche, bez pomruku i oporu znoszenie jarzma niewoli niż sama walka przegrana — gdyż znaczyłoby to wyrzeczenie się najszczytniejszego ideału: »za naszą i waszą wolność!«.

Tylko te narody się odradzają, w których tkwi moc i siła, gdzie sztandar wolności nadsycany zniczem miłości ojczyzny, wżera się w miliony dusz ryjąc niezatarte ślady... Ten więc ideał Polski niepodległej gnał rodaków na pole chwały, skąd płynęło echo pieśni:

...»ciemne bory, gęsty las,
smutnie powtarzają wraz;
orle powstań z więzów, ran,
orle wzleć nad polski łan«...

Ta myśl o niepodległości i wolności Ojczyzny naszej gna teraz Legiony polskie, które z orężem w ręku wyszły w szeroki świat na śmiertelny bój, by szukać prawdy i nowego życia dla Polski! Już z górą 85 lat mija od powstania

Rożnorakie wojsko nieprzyjacielskie w Solonikach.

listopadowego, jak naród, pogrążony w żałobie, zdrętwiał w niemocy. Zdało się, że ziemia wraz z wszechbytem popadła w długi i milczący sen.

I było ciemno w Polsce, i smutno, i mglisto było... Nie było światła, bo wróg przygasił na chwilę żarzącą pochodnię. Nie było prawdy i miłości, bo miłość może tylko wykwitać w prawdzie, a tą prawdą nie odznaczał się nieprzyjaciel, chwilowo przemocą zwycięski. Wszędzie gruba pomroka — bezświetlna noc, a beznadziejna rozpacz chodziła po ziemi i zbierała łzy... Bowiem jest stopień rozpaczy, głębszy, niż sama rozpacz. To ten, kiedy uczucie, wysilone zbytniem cierpieniem, przechodzi w stan bezczucia, a myśl zmęczona zaczyna się plątać i rwać i tracić świadomość siebie. Długo naród pozostawał w takim stanie, długo był w letargu. I zewsząd pytano: Jakaż nam przyszłość — jakaż nasza droga? Zachód krwią splonął... mrok smutkiem się ścieli... Jakżesz dziwną i szaloną miało się chęć nieraz wstrząsnąć bryłą tego świata wraz z brutalną przemocą i obłudą, wyrwać ją z posad i rzucić na nowe koła!... Bowiem te, na których się toczy, we łzach się pławią i krwią ludzką broczą... A wróg starał się nam odciąć żywotne soki i wyrwać z korzeniem wszystko, co polskie. Aż oto świta i dnieje... z oplotu nocy i mgieł wyłania się jutrzenka, na szare jeszcze niebo.

Widzę, jako zwiastunka wielkich chwil się pojawia... Posuwa się wciąż naprzód i coraz szersze obejmuje kręgi. Pryskają gęstej nocy cienie, uchodzą gdzieś niewidzialnie i kryją się w pustkowiach samotnych. Czarniawy horyzont rozwidnia przedświt, a hen daleko, daleko błękitnieją nad Polską obłoki przecudne. I jaśnieją coraz silniej, coraz jaskrawiej, by wreszcie zalśnić purpurą i złotem. Z powicia nocy wyłania się przejasny Dzień... i »na wieki będzie Rano«...

Ośm przeszło dziesiątek lat mija od powstania listopadowego, a pół wieku od ostatniego porywu. Naród zrozumiał swe położenie — i czekał »chwili osobliwej«. Tymczasem padło hasło: do pracy, do skupienia sił i spotężnienia ducha narodu! I płynął rozpęd twórczy szerokiem łożyskiem, płynął zapał czysty, gorący i szlachetny, a lśniący, jak błysk zbroi dawnych rycerzy. Nadeszła okrutna walka tytanów, jak burza straszna i huragan olbrzymi — walka na śmierć i życie! Porwani jej prądem, ujrzeliśmy wnet całą ziemię rodzinną, lecącą przez ciemność czasu, niby okręt płonący przez ocean burzliwy, a za nią wichry ogniowe, łuny pożarne i deszcz kul stalowych. Wkoło niej widać światy rozbite, jakby rozprysłe krople wezbranych fal.

Na ziemi polskiej bezmiar krzyżów i mogił... a wsi i miasta stoją ruiną. Czeka nas ogromne pole pracy narodowej: odbudowa nowej Polski! Mimo burz i wichrów zewsząd rozszalałych, naród polski nie utracił równowagi ducha. Ma niezłomną wiarę i nadzieję w przyszłość jutrzennych dni, ma siłę i moc, którą czerpie z wnętrza grobów polskich, dawnych i dzisiejszych bohaterów. A nadzieję trzeba mieć, bo ona jest zachętą do pracy narodowej, daje natchnienie w pomysłach i wiedzie do krainy, kędy »zapał tworzy cudy«, kędy staje przed nami rzeczywistość. Trzeba mieć wiarę i nadzieję, bo one pobudzają do wytrwałości, rodzą zgodę, pokonują wszelki trud, dążą ku wyżynom szlachetnych ideałów, ku wiośnianym szlakom życia i odzyskaniu ojczyzny... My, choć nieraz smutni i zatopieni w kruczu bezdennej i zadumie bolesnej, choć nam wróg, niby meduza, rojem migotliwych języków, parska jadowitą śliną, usiłując zostawić na ciele Polski swe ślady, trwajmy w rozpoczętem dziele, czyńmy ciągle i bez wytchnienia — a twórzmy granitowe słupy przy budowie nowej Polski! Wówczas pieśń radości popłynie w słoneczne bezbrzeża, dźwięczna, jak sfer nadgwiezdnych harmonijne chóry! I nieraz miałbym ochotę chwycić ten olbrzymi kołowrót świata i zmienić mu bieg, aby jedna olbrzymia pieśń szczęścia runęła w niebo i zdumiała gwiazdy, aby jej głos tryumfalny zmieszał się z melodyą lasów, mórz i wichrów poszumem. Czy oczy polskie będą kiedy, niby te te kwiaty rozkoszne, uśmiechnięte ku słońcu?

Musi nadejść ta chwila, co mówię, jest już bliską, w której promienne oblicze narodu, spotężnionego cudowną pieśnią złotego rogu, zaśpiewa hymn radości, hymn wyzwolenia i wolności! Już w najbliższem zaraniu odezwie się dźwięcząca z mogił harfa i powieje tchnieniem wiosny polskiej i pobudzi do bica serca milionów...

Franciszek Józef Tryszczyła.

Kołomyja, w listopadzie 1915.

LESŁAW M. P.

W 500-letnią rocznicą urodzin Jana Długosza.

(1415 — 1915).

Naród polski jest narodem marzycielskim, pozbawionym zmysłu rzeczywistości. Brak mu zdolności życia teraźniejszością, nie rozumie znaczenia idei, nurtujących społeczeństwo w danej chwili, nie docenia jednostek, reprezen-

Niemiecka artyleryaprzejeżdża przez zdobyty Kragujewacz.

tujących daną ideę, ba! często rzuca na nie kamieniem potępienia, który historyk dopiero odwala i buduje tym ludziom pomnik »aere perennius«. Następstwem tego tragicznego rysu duszy polskiej jest ciągłe nawracanie myślą ku przeszłości, wyciąganie z tego archiwum dokumentów dawnej świetności, szczerbca, zdobycznych chorągwi i buńczuków, purpury królewskiej i »Zygmunta«, ulanego ze zdobytych na Wołoszy armat; albo też dusza polska sięga wyobraźnią w przyszłość i odurza się niezdrowym pokarmem złudzeń. Nic też dziwnego, że naród polski kamienuje swe proroki, których dopiero następne pokolenia rehabilitują.

Nieinaczej było i z Długoszem.

Dwustu z górą lat było potrzeba, aby księgi jego wydobyte zostały z mgły zapomnienia i aby okazały, czem był Długosz dla Polski XV. stulecia.

Dopiero w roku 1711. wydrukowano w całości jego »Historyę polską« (po łacinie), a więc w 231 lat po jego śmierci. Prawdę mówiła jego »Historya« narodowi polskiemu i to było przyczyną skazania jej na zapomnienie, a przecież dzieło to, rozpatrywane pod kątem ówczesnej (XV. wiek), nietylko polskiej lecz i europejskiej historyografii, jest zjawiskiem epokowem. Długosz w porównaniu ze swymi poprzednikami: Marcinem Gallem (XII. wiek), Wincentym Kadłubkiem (XIII. wiek), Jankiem z Czarnkowa (XIV. wiek), którzy są kronikarzami, zapisującymi skrupulatnie dzieje każdego roku — jest zupełnie nowoczesnym historyografem; charakteryzują go: 1) źródłowość, t. j. sumienne zebranie i przestudyowanie wszelkich możliwych źródeł; 2) krytycyzm, t. j. zdolność odróżniania prawdy od nieprawdy; 3) pragmatyzm, t. j. doszukiwanie się genetycznego związku między wypadkami; 4) prawdomowność — o ile nie chodzi o interesy kościoła — i 5) artyzm pod względem stylu i języka.

Gdy się zważy, że poprzednicy Długosza ze świętem przekonaniem zapisywali zdarzenia przedhistoryczne i głównie korzystali z tradycyi, że pozbawieni byli zdolności perspektywicznego przeglądu historyi polskiej i wyobrażenia wprost nie mieli o syntezie historycznej, to Długosz tak dalece wyprzedził swą epokę, że śmiało może zająć miejsce obok współczesnych historyografów. Jest to nasz Herodot, nasz »pater historiae«. Dopiero w 300 lat potem znajduje się historyk miary Długoszowej — Adam Naruszewicz.

Ale i słońce ma plamy, ma je więc i epokowe dzieło Długosza. Plamą taką jest jego podmiotowość. Wprawdzie absurdem jest gadanie o przedmiotowości tam, gdzie autor jest zmuszony do wypowiedzenia swego zdania — i niema dzieł historycznych, pozbawionych subjektywizmu, ale przecież są pewne granice i te właśnie granice Długosz częstokroć świadomie przekracza.

Długosz był księdzem, co więcej — był prawą ręką biskupa krakowskiego Zbigniewa Oleśnickiego, który w myśl papieża Grzegorza VII. zmierzał do przewagi kościoła nad państwem (którego interesy z natury rzeczy musiały być inne, niż interesy kuryi rzymskiej), i aż do śmierci wojował z Kazimierzem Jagiellończykiem; nic więc dziwnego, że gdy Długosz z polecenia biskupa zabrał się do pisania historyi, nie mógł nie stanąć na stanowisku kościelnem; po śmierci jednak swego mecenasa nie zapomniał zbliżyć się do króla, wskutek czego nastąpiła do pewnego stopnia zmiana kątu widzenia, co oczywiście odbiło się na »Historyi«, obniżając jej wartość. Gdzie jednak przez wypowiedzenie swego zdania nie wchodzi w kolizyę ze swym protektorem (najpierw biskupem, potem królem), tam mówi prawdę bez ogródek i to zwykle gorzką, co właśnie zrobiło mu wśród społeczeństwa współczesnego wielu wrogów. Wziąwszy pod uwagę niechęć, która pyłem zapomnienia zasypała na dwieście lat jego »Historyę«, podnieść należy ten szczegół, że gdy na początku XVI. wieku Herburt zaczął w Dobromilu drukować dzieło Długosza, podniósł się w Polsce srogi wrzask i król musiał zakazać wydawcy drukować jedno z najcelniejszych dzieł historyografii polskiej. Tylko kilka tomów wyszło w druku, a i z tymi szlachta obeszła się po barbarzyńsku, wydzierając karty, zawierające coś niepochlebnego o szlachcie, ba! co gorsza, kazano drukować inne karty — o tym samym formacie — ale z pochlebnem zdaniem o szlachcie i wlepiano je w miejsce wydartych.

Dziś — po 500 latach — zbieramy wszelkie szpargały po Długoszu jak relikwie i składamy je w mauzoleum naszej narodowej wielkości a Długosz spoczywa w »grobach zasłużonych« na Skałce, w Krakowie. Szukamy po archiwach za szczegółami życia, chcąc poznać go jako człowieka i Polaka. Wszystko ma dla nas wartość, co się odnosi do Długosza.

Długosz — to nie nazwisko wielkiego historyka, ale przydomek; nazwisk wtedy jeszcze nie znano. Rodzina jego pieczętowała się »Wieniawą« i poza dziejopisem wybitniej

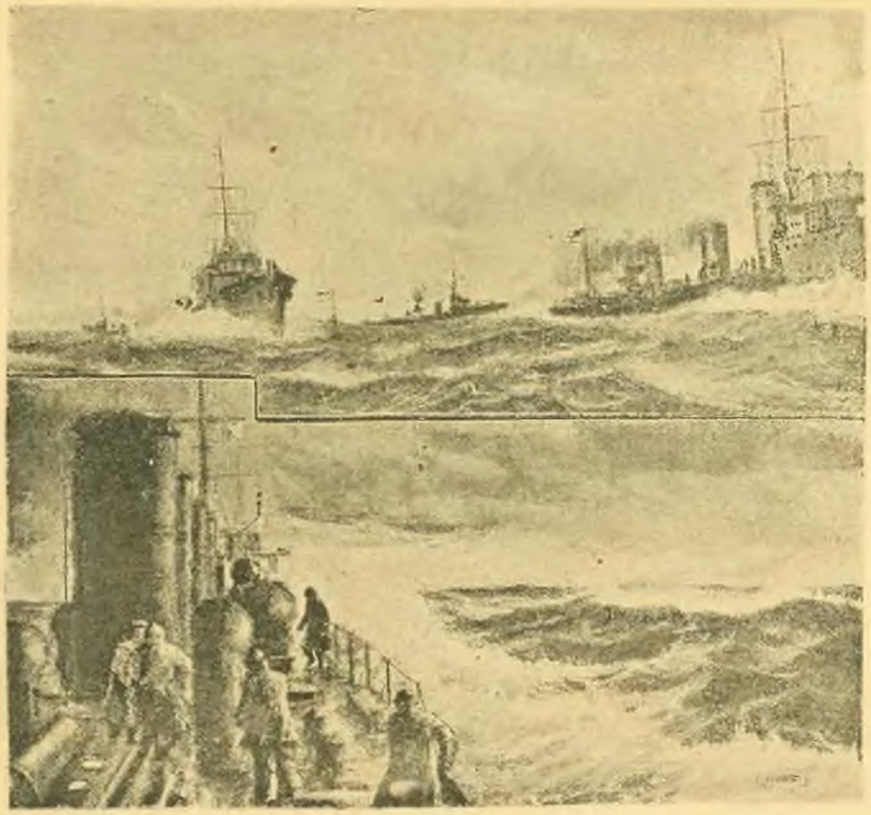

Transportowanie wojsk franc. do Bałkanu pod osłoną 3 statków; na dole: statek do wyławiania min.

I. Angielski rów strzelecki w półn. Francyi przed szturmem

szych ludzi nie wydała. Jan Długosz wykształcenia swego nie zawdzięcza studyom szkolnym w Nowym Korczynie (szkoła parafialna-ludowa), ani na uniwersytecie krakowskim (od 1428—1431), gdzie nie ukończył nawet wydziału artystycznego (filozoficznego), po ukończeniu którego można było dopiero zapisać się na wydział teologiczny, jeno własnej pracy na dworze biskupa krakowskiego Zbigniewa Oleśnickiego, w którego kancelaryi był notaryuszem pisarzem). Tutaj zapoznał się dokładnie z literaturą klasyczną, szczególnie z Liwiuszem, historykiem rzymskim, którego dzieło »Dzieje rzymskie« były wzorem Długosza przy pisaniu »Historyi polskiej«; tutaj również nabierał wprawy w studyach historycznych przez pracę nad »Księgą przywilejów kościoła katedralnego«; tutaj poznał kierunek ówczesnej polityki kościoła i państwa, gdyż jako prawa ręka biskupa krakowskiego używany był przezeń do rozmaitych misyi, a następnie z usług jego korzystał król, którego niedawno jeszcze zwalczał protektor Długosza, wówczas już nieżyjący. Kościół był dlań alfą i omegą, najwyższą władzą, której należało podporządkować nawet interesy państwa. Jego kościelna polityka sprawiła, że król skazał go na banicyę, która jednak nie długo trwała. Kazimierz Jagiellończyk umiał się poznać na jego zdolnościach i używał go w wielu publicznych sprawach, co większa, powierzył mu wychowanie swych dzieci. Zakładał bursy dla kształcącej się młodzieży, budował kościoły, klasztory, wspierał materyalnie rodzinę — a wśród tylu zajęć politycznych, filantropijnych i duchownych (w r. 1434 został księdzem) miał czas na prace literackie. Pominąwszy wspomnianą już »Księgę przywilejów«, której znaczna część jest jego pióra, napisał »Chorągwie pruskie« (po łacinie), »Herby, czyli klejnoty Królestwa polskiego« (po łacinie), »Księga wyposażeń dyecezyi krakowskiej« (po łacinie), »Żywoty św. Stanisława i Kingi«, wreszcie »Historia polonica« — najwspanialszy pomnik Długosza.

Z odległości pięciu wieków przyglądamy się postaci kanonika krakowskiej kapituły. W perspektywie historycznej zacierają się plamy i oto widzimy wielkiego nauczyciela narodu polskiego, który nie dla sławy pisze »Historyę polską, ale »iżby królowie i książęta i ci wszyscy, którzy sprawami Rzeczypospolitej mają kierować, widząc wzory mężów najdzielniejszych, rylcem dziejowym skreślone, brali pochop do ich naśladowania, a umysły swoje i sprawy zwracali ku budującym przykładom cnót i dzieł ludzkich znakomitych«; widzimy dalej w Długoszu dobrego Polaka, któremu tak dalece leży na sercu dobro Ojczyzny, że nie szczędzi jak najsilniejszych barw celem podniesienia Jej wielkości — czasem nawet fałszuje historyę »pro publico bono« — i wreszcie widzimy w nim znakomitego hihistoryka i stylistę.

Jego »Historya polska« jest Mekką, dokąd podróżować musi każdy historyograf Polski Piastowej, i — źródłem, w którem krzepi się współczesna dusza polska. Powinna być ona dla współczesnego pokolenia polskiego ową cudotwórczą sadzawką Betsaidy, w której goją się wszelkie rany i skąd wychodzi się zdrowym i silnym.

Kamienka strumiłowa, listopad 1915.

Dr. OKTAW HLAVATY.

Wynagrodzenia szkód wojennych.

Poniżej podajemy opinię prawną dra Oktawa Hlavatego, adwokata we Lwowie, w sprawie odszkodowań wojennych:

Mimo przeświadczenia wielkiej krzywdy i nieszczęścia, jakie spadły z wojną obecną na nasz kraj, toruje sobie drogę zapatrywanie, że szkody wojenne są jeno nieszczę-

2. Angielski rów strzelecki w pobl. Francyi po zdobyciu.

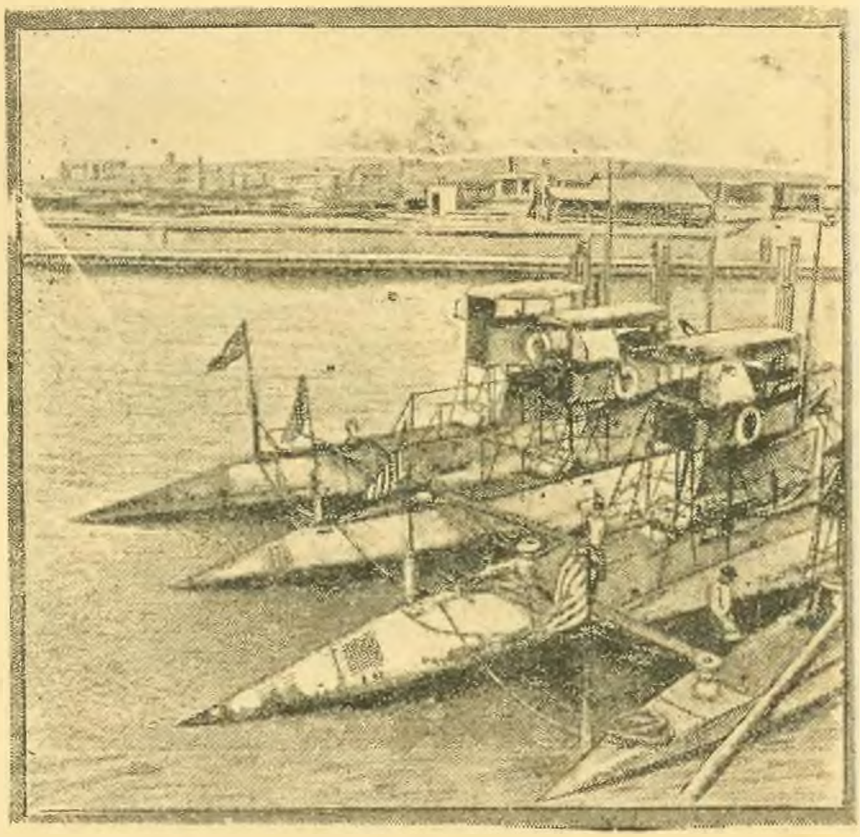

Łodzi podwodne na morzu Śródziemnem.

ściem, to jest nieszczęśliwym przypadkiem, który dotknął część mieszkańców państwa.

W konsekwencyi urabia się opinia, że za te szkody wojenne nie należy się odszkodowanie.

Nie przesądzając w niczem kwestyi, czy i o ile państwo obowiązane jest wynagrodzić wszystkie bez wyjątku szkody wojenne, jakie spotkały nasz kraj, chciałbym zastanowić się nad obowiązkiem odszkodowania tylko jednej kategoryi szkód, to jest tych szkód, które wyrządziły wojska nieprzyjacielskie bezprawną rekwizycyą, rabunkiem, podpaleniem, wogóle zniszczeniem własności prywatnej.

Trzeba rzecz załatwić nie »contra legem«, ale tylko »praeter legem scriptam«, a po myśli prawa słuszności, które w tym nadzwyczajnym wypadku musi uzupełniać prawo pozytywne — zgodnie z ideą prawa. Nie widzę racyi w powoływaniu się na fakt, że gdy państwo w wojnie żąda od jednych swych obywateli ofiary z życia, może od drugich żądać ofiary z mienia. Argument nie jest trafny; nie możemy bowiem my, ludzie społeczni, stanowiący społeczeństwo z rodzin złożone argumentować ze stanowiska jednostki. Wyjść należy ze stanowiska rodziny i z rodzin złożonego społeczeństwa — a więc ze stanowiska faktycznego stanu rzeczy. A z tego stanowiska wychodząc, nie wiem, czy wielu znaleźlibyśmy żołnierzy, a więc tych, którzy życie swe w ofierze państwu ponieśli, którzy stali wśród tego społeczeństwa samotni i osamotnieni. Wszakże to synowie tych samych rodzin — członkowie tego samego społeczeństwa, o które właśnie chodzi. Te same rodziny, to samo społeczeństwo, dały właśnie państwu w ofierze życie swych synów, braci, mężów, ojców — a dało mu także swe mienie pod postacią zwykłych podatków i nadzwyczajnych danin na cele wojenne.

A jedno i drugie dali wszyscy obywatele państwa austryackiego — wszystkie rodziny w Austro-Węgrzech zamieszkałe — całe społeczeństwo wszystkich krajów monarchii. Nasz kraj — społeczeństwo galicyjskie, rodziny polskie (a częściowo i ruskie), dały ponadto nieskończenie wiele — dały częściowo dobrowolnie i ochotnie, częściwo dać musiały wbrew woli i wbrew nawet interesowi państwa — ale dać musiały dzięki wojnie przez państwo w interesie państwa prowadzonej. Naszym rodzinom, naszemu społeczeństwu i swój i wróg zabrali na rzecz wojny i wskutek wojny nie część dochodu tylko — ale samąże esencyę — samąże podstawę i treść bytu materyalnego. Niewynagrodzenie w całej pełni i jak najrychlej społeczeństwu galicyjskiemu tego, co ono ponad obowiązek i ponad miarę na rzecz wojny i przez wojnę straciło — byłoby (pominąwszy już stanowisko dobrze zrozumianego interesu państwowego, bo z tego stanowiska byłoby trudnym do odpokutowania w przyszłości błędem i głupstwem), ze stanowiska idei słuszności, która winna być kierowniczką prawa pisanego, pozytywnego — do nieba o pomstę krzyczącą niesprawiedliwością.

Nie chcemy i nie mamy prawa przypuszczać, aby rząd państwowy chciał i mógł dopuścić się takiej wobec kraju naszego niesprawiedliwości.

Z pewnością nikt nie pomówi rządu pruskiego o sentymentalizm — a przecież ten właśnie rząd »z wdzięczności za poniesione przez wojnę ofiary pospieszył wschodnio-pruskiemu społeczeństwu z natychmiastowem i bardzo wydatnem odszkodowaniem.

Nie mamy więc prawa przypuszczać, by austro-węgierski rząd państwowy okazał się mniej pieczołowitym, mniej ojcowskim wobec kraju naszego, który pozostał przez cały czas wojny wierny państwu i monarsze.

Anglicy zajęli na kwatery wszystkie zamki i dwory we Flandryi, skąd ich niem. armia po części już wypędziła.

Pole walki pozycyjnej we Francyi. Między zasiekami i drutami miejsce neutralne — do zdobycia.

Na cmentarzu Konstantyna w Warszawie: pomnik trafiony odłamkiem granatu.

Otwarcie uniwersytetu w Warszawie 15. listopada br. Na górze: polscy słuchacze, arystokracya i niem. wojskowość: na dole: Exc. Beseler w drodze na inauguracyę

Ciężkie działo włoskie podczas oblężenia Gorycyi.

Oddział serbski w obronie linii kolejowej Nisz—Saloniki, podczas zaciętych walk o nią Serbowie ją zniszczyli a Bułgarzy zaraz naprawili.

Odpoczynek serbskich jeńców 19. listop. br obok miejscowości Batocina nad Lepienicą.

OFERMA.

(Humoreska profesorska)
skoncypował Le Slave.

(Dalszy ciąg)

W czasie kadryla »oferma« oświadczył się pannie Kołubryńskiej, która omal nie zdębiała, co oblubieniec policzył na karb jej kolosalnej radości i wzruszenia, tańczył następnie z nią wszystkie tańce, co tak oblubienicę jego przeraziło, że przed północą uciekła z wieczorku, czem się nasz bohater nie bardzo zmartwił, bo już dobrze sobie podchmielił i za radą swego »przyjaciela« zaczął wszystkim pannom oświadczać się, a mężatkom doradzać, by nie zamykały okien na noc — jednem słowem skandal nad skandalami, tak, że go wreszcie musiano ubrać w futro i odwieźć do domu.

Następnego dnia wróble śpiewały o czynach ck. profesora Wermy Juliusza, popełnionych na wieczorku, a dyrektor wyczytał mu takie »paternoster«, że »oferma« zerwał wszelkie stosunki dyplomatyczne z Piwskim, którego od półrocza wezwała ck. Rada szkolna krajowa do kontynuowania podróży po małych mieścinach galicyjskich, posiadających — z przeproszeniem — gimnazya.

»Oferma« odetchnął.

W ciszy, jaka teraz nastąpiła, zaczął rozmyślać nad stosunkiem swym do Piwskiego i doszedł do przekonania, że Piwski był jego Masynissą, a on oczywiście Irydyonem, którego właśnie brał w VIII. klasie. Dziękował więc Bogu i Wysokiej ck. Radzie szkolnej krajowej, że usunęły tego demona z Błogobłotka, a dla Jaśnie Wielmożnego Pana Dyrektora czuł bezgraniczną wdzięczność, że mu otworzył oczy na jego »przyjaciela«, który w tak niegodziwy sposób brał go na kawał, bawił nim całe grono i całą społeczność błogobłotecką, udawał przyjaciela — faryzeusz! — i szarpał jego powagę ck. profesorską, dumę pana ck. profesora Wermy i chlubę, jedyną rzecz bałwochwalczo przez niego czczoną — poza numizmatami.

Ach! jak błogo na sercu było teraz »ofermie«. Cieszył się, jak nowonarodzone dziecię, któremu matka zapycha do ust jędrną, pełną mleka, pierś. Nie mógł co prawda, odżałować koron, wydanych na »bruderschaft« z Piwskim, ale pocieszał się, że »lepiej późno, niż nigdy« i przyrzekł sobie uroczyście nie znać Piwskiego, choćby się kiedy nawet — broń Boże! — spotkali.

Ale los, to figlarz, który lubi robić na despet ludziom i sprawiać im takie niespodzianki, że człeka szlag o mało nie trafi. Jakżeżby więc taki złośliwy los nie miał sobie użyć na »ofermie« i nie sprawić mu niespodzianki, od której włosy stanęły dębem na głowie pana ck. profesora, gdyby ich miejsca nie zajęła była łysa nagość, przypominająca kolano, aby nie użyć trafniejszego porównania.

Oto w czasie Zielonych Świątek, kiedy cała przyroda botaniczno-zoologiczno-ornitologiczno-insektowa cieszy się ciepłem, słońcem i długością dnia, a ludzie domy umajają na znak, że tu zieloność mieszka, — otóż w tych błogich dniach Zesłania Ducha Świętego, zesłał los-szelma »ciepłe piwko« do Błogobłotka. Przyjechał zacieśnić węzły przyjaźni z kolegami i nacieszyć oczy widokiem swego ofermowatego przyjaciela. Całe prawie Błogobłotko wyrunęło na dworzec, by powitać gościa, zapowiedzianego kartką. Co to była za radość!... Podobnie chyba cieszyć się będą narody Europy na wieść — urzędową naturalnie— o zawarciu pokoju.

Dnia tego brakło piwa w Błogobłotku, a niejedna żona napróżno oczekiwała męża z kolacyą. Ogólnej radości nie podzielał tylko »oferma«. Wieść o przyjeździe Piwskiego omal nie przemieniła go w biblijny słup soli, ale na szczęście w XX. wieku transformacye takie należą do bajek dla grzecznych dzieci, wierzących w czarodziejski pierścień. W pierwszej chwili postanowił wyjechać do Lwowa, ale gdy się obliczył z kosztami, oszczędność wzięła górę nad przezornością i — pozostał. Tak jest — pozostał. Był to klasyczny dowód cywilnej odwagi »ofermy«, któremu nalegowo odmawiano prawa do cnoty dawnych Rzymian, zwanej: virtus.

Został więc na posterunku, ale dla bezpieczeństwa pozamykał wszystkie drzwi na dwa spusty, drzwi zaś swego pokoju zatarasował kufrem, zamknął na śmierć dolne części okien i — czuwał. Na szczęście nie było w jego domu broni ani palnej — prócz zapałek — ani siecznej — prócz tępych noży i nożyczek, które w walce wręcz nie miały żadnej wartości. Tylko siostra — Hefajtos miała przystęp do niego i to po zastosowaniu tajemnego a umówionego znaku, którego ze względów dyskrecyi literackiej nie wypada zdradzać.

Pół niedzieli minęło spokojnie, jeszcze tylko półtora dnia, a najeźdźca będzie musiał ustąpić z Błogobłotka. »Oferma«, zjadłszy obiadek świąteczny — aż trzy dania! —

Nieudany szturm Anglików pod Loos w maskach ochronnych po rzuceniu bomb z gazami trującymi.

położył się »na minutkę«. Zbudził go straszny hałas, jakby wszystkie forty Przemyśla odpierały generalny szturm Rosyan, albo co najmniej, jakby uczniowie VII. klasy wyrażali swą radość z powodu »witzów« Furmana, »orystem« zwanego. W pierwszej chwili wlazł pod łóżko, gdyż właśnie przypomniał sobie, że przed miesiącem upadła mu pod łóżko spinka, której właśnie koniecznie potrzebował. Poszukiwania te przerwała siostrzyczka, która tajemniczym znakiem wydobyła go z pod łóżka. Zrazu zawahał się.

— Może lepiej udać, że śpię? — przebiegło mu przez myśl — ale może to co ważnego? może od samego dyrektora?

Wpuścił więc Hefajstosa, która wręczyła mu list.

— Gdzieżeś ty się tak zawalał? — zajęczała, widząc warstwę prochu na jego ubranku.

— Spinki pod łóżkiem szukałem — odparł, unikając jej wzroku.

Rozdarł kowertę i czytał.

— To bezczelność! — wybuchnął. — To przechodzi wszelkie pojęcie. Ten łotr ma odwagę prosić mnie na szklankę piwa... Nie... To świat się kończy. I wypisuje mi jeszcze: »Kochany przyjacielu«. psi mu przyjaciółmi, ale nie ja. Łajdak jeden... Dobrze, że choć Wysoka ck. Rada szkolna krajowa poznała się nim... Nie pójdę... ani mi się śni... niech mnie w nos pocałuje Słyszysz, powiedz to posłańcowi... albo nic... napiszę mu...

— Lepiej nie pisać — przerwała mu siostrzyczka, celująca praktycznym rozumem. — Odmów ustnie krótko i węzłowato: niechce mi się i basta, albo, żeś niezdrów.

— Powiedz więc posłańcowi, że mi się nie chce i basta.

Hefajstos odszedł: kusztyk, kusztyk. »Oferma« zamknął za nią drzwi, sprawdził, czy drugie drzwi zamknięte, popróbował okno i — zapalił papierosika. Był niespokojny; czuł, że nieprzyjaciel nie prędko wyrzeknie się nadziei łupu, że jak lew krążyć będzie, szukając »quem devoret« — i że użyje wszelkich środków, by wtargnąć do jego przebytku i zniszczyć tak ukochany ład i spokój. To też »oferma« postanowił sobie bronić się do ostatka i wrzeciąży Piwskiemu nie otworzyć. Uczuł w sobie nagle dziwny przypływ energii, wywołany patosem własnych słów.

— Pies jestem, arcypies, jeśli temu chłystkowi pozwolę wtargnąć po woli, lub gwałtem w dom mój.

Odwagę jego umacniała świadomość, że w pobliżu znajduje się żandarmerya, która w potrzebie pospieszy mu z odsieczą. Nic dziwnego, że »oferma« czuł się mocnym i gotowym do walki nietylko z Piwkiem, ale i z całym światem.

— Niech tu tylko przyjdą — mówił z patosem Brokmana ibsenowskiego — a ja im pokażę... — i obserwował z zadowoleniem swą postać i mimikę w lustrze.

Nie wiedział, że wyzywając fortunę, wywołuje wilka z lasu. Bo oto »ciepłe piwko«, otrzymawszy kategoryczną odpowiedź »ofermy«, że »mu się nie chce i — basta«, zmartwił się niepomału, bo obiecywał sobie homeryczne »gaudium« z obecności swego »przyjaciela«. Zmartwili się i koledzy »ofermy«, widząc, że wymyka się im tak znakomita gratka zabawienia się kosztem c. k. profesora i — nagle piwo straciło smak, świat im znudniał, uczuli senność. Ale Piwski nie darmo nosił głowę na karku, co w zawodzie nauczycielskim nie jest praktykowane — »plecy« aż nadto wystarczają — więc znalazł radę.

— Heureka, przyjacielęta! Mam, mam... wyzwię go na pojedynek o obrazę honoru. Wy dwaj, Władek i Jasiek, urządzicie się na czarno i walcie do Julcia jako moi zastępcy. Napędźcie mu pietra, tylko, broń Boże! nie wypadnijcie z roli i nie ustąpcie ani na włos panny Maryanny od pistoletów gwintowanych, 5 kroków, 3 strzały. Powiedźcie mu, że krwi jego łaknę za wszelką cenę, a o przeproszeniu ani słyszeć nie chcę. A jak go już tak przyciśniecie, że trójpot z niego spłynie, ulitujcie się nad nim i obiecajcie mu pogodzić go ze mną, ale musi przyjść tutaj, do Canossy. Resztę mnie zostawcie.

Posłano natychmiast kelnera po anglezy i czarne krawatki dla sekundantów i w pół godziny potem obaj zastępcy, nastroiwszy pogrzebowe miny, ruszyli do »ofermy«. W chwilę potem Hefajstos wręczyła braciszkowi bilety, nadmieniając, że obaj panowie są na czarno i mają bardzo poważne miny. W »ofermie« zatrzęsła się dusza, jak jabłoń, telepana przez dwóch morusów.

— Pojedynek... sekundanci... — przebiegło mu przez myśl i zemdlał.

Wreszcie przyszedł do siebie i postanowił sobie wypić do dna ten kielich goryczy. Kazał wprowadzić gości. Sam ich widok wystarczał, aby zrozumieć, że tacy goście wnoszą w dom nieszczęście i że prędzej-by skałę poruszył, niż serca ludzi, tak złowieszczo wyglądających. — W anglezach, pozapinanych na wszystkie guziki, w czar-

Przejście niem. dywizyi Gallwitza po połączeniu się z armią Bojadjewa przez Moravicę w pogoni za Serbami.

Studnia z Neptunem w Genui, zabezpieczona przed bombami.

nych krawatkach i rękawiczkach — wyglądali jak świątobliwi członkowie hiszpańskiej inkwizycyi, przychodzący zabrać więźniowi ostatnią własność — życie. A przytem te kamienne ich miny, zimno wzroku, sztywność postawy, twardość głosu — to wszystko zdołałoby przerazić nawet Achillesa.

Lekko skłonili się, nie podając ręki, gdyż nie wiedzieli, czy zastępcom wypada podawać rękę przeciwnikowi ich klienta — osądzili, że niepodanie ręki wywoła większe wrażenie na »oferme« — i oświadczyli, że pan profesor Piwski, czując się zlekceważonym i śmiertelnie obrażonym, żąda honorowej satysfakcyi, przeto pan profesor raczy wskazać im swych zastępców i to bezzwłocznie, gdyż »jutro z rannym brzaskiem dzień gonitwy, dzień wyprawy«, a wreszcie proszą o tajemnicę, gdyż gdyby się Wysoka ck. Rada szkolna krajowa — tu obaj zastępcy pochylili lekko głowy — dowiedziała o pojedynku, napędziłaby ich wszystkich.

»Oferma« na pół zamarł; ostatnia wzmianka o Radzie szkolnej krajowej, dla której pan ck. profesor Wenna był przejęty zabobonną czcią, złamała w nim ostatnią gałązkę energii; moralnie ochlapnął i milczał.

Sekundanci siedzieli jak z głazu ukuci, nie oddychając i nie mrugając dla większej powagi.

— Nie mogę, nie mogę — wyjęczał po chwili gospodarz, obejmując się w rozpaczy za głowę.

— W takim razie — oświadczył jeden z sekundantów — będziemy zmuszeni spisać protokół, stwierdzając tchórzostwo pana profesora i opublikować go w gazetach, co bez wątpienia dojdzie do uszu Wysokiej ck. Rady szkolnej krajowej — tu obaj sekundanci powstali — a konsekwencye pan profesor sam sobie przypisze.

— Ach! Boże mój, Boże! za co mnie tak prześladujesz? — zajęczał znowu »oferma« i łzy ciurkiem zaczęły mu płynąć po twarzyczce.

Głupio zrobiło się panom zastępcom i nieprzyjemnie, bo widzieli, że »dla nich to igraszką«, a »oferma« cierpi jak owad, żywcem szpilką przebity. Żart za daleko został posunięty i wypadało im albo go przerwać, albo zagaić o zgodzie.

— Jeśli pan profesor — zaczął drugi sekundant — chce załatwić sprawę ugodowo...

— Radźcie mi, radźcie, na miłość boską — przerwał mu »oferma«, wyciągając do nich błagalnie ręce. — Przecież wyście moimi kolegami, przyjaciółmi, towarzyszami pracy nauczycielskiej... bójcie się Boga, radźcie, co począć.

— Czy pan profesor chce od nas rady prywatnie, czy urzędow, to znaczy jako od zastępców pana Piwskiego?

— Prywatnie, naturalnie, prywatnie.

— A to co innego — i obaj sekundanci porozpinali się, rozsiedli się wygodnie w fotelikach, pozakładali nogę za nogę, zrzucili z twarzy posągowość, zaczęli oddychać głośno, mrugać śmiało powiekami, poobcierali sobie nosy i zapalili papierosy.

— Otóż, Julciu, — zaczął »prywatnie« Władek — nasza rada jest taka: musisz się na czarno odziać i pójść przeprosić »ciepłe piwko«...

Ciąg dalszy nastąpi.

WIKTOR.

Pogoń za posadą.

(Smutna humoreska).

P. Fabian znowu szukał posady; on już tak pół życia jej szuka. Dobrze choć, że sobie wybrał względnie zamożnych rodziców, bo inaczej nie mógłby sobie pozwolić na zbytkowne chodzenie po świecie bez zajęcia i bawienia się szerokiego, jako dyrektor świeżego powietrza.

Ze swej praktyki miał już taką wprawę, że bodaj ze samego szukania posady mógłby się bez biedy utrzymać. Miał już swoje sposoby niezawodne: gdy zastał miejsce już zajęte, wzdychał, że kamieńby się ulitował i tak kręcił, że dostał odczepne za koszta i na koszta podróży, bo jak twierdził — stracił przez stawienie się inną pewną posadę — albo znowu wziął z góry elegancką zaliczkę, a za parę dni znikał zupełnie, albo doprowadzał do tego, że mu wypowiedziano i jeszcze dopłacano.

Trafiało się, że spadła mu z nieba posada intratna i »dobra«, t. zn. nie wymagająca wiele wiadomości i pracy. O, bo nasz p. Fabian od młodości przeklinał tego, co pracę wynalazł, a że po szczeblach gimnazyalnej erudycyi dotarł aż do matury, którą za łzami matki, a kijem ojca za trzecim zdał zasiadem, to chyba jedynie fundy ze strony papy sprawiły.

Ale i na takiej posadzie nie długo popasał. Jak bociany, czaple, jaskółki, kanarki, zające i inne ptactwo przelotne jakaś nieprzeparta tęsknota ciągnie w jesieni do Afryki, choć podróż długa i niebezpieczna, choć dość je-

Studnia s Neptunem w Genui (odkryta.)

Patrol niemiecka w Wogezach.

szcze pożywienia i swobody — tak i p. Fabiana aż podnosiła na stolku gorączka wędrówki za choćby gorszem zajęciem.

Ile się grubiaństw nasłuchał z tego powodu, ile awantur miał z rodzicami, że nieraz musiał spać poza domem u kolegów, albo na ławce w alejach, albo — e, mniejsza o to. Tomy byłoby o tych zajściach pisać, ale aby nie nużyć, wybierzmy z jego Odyssei na dziś jeden kawał.

— — — — — — — — — —

Raz był znów w tem upragnionem przezeń położeniu, że wyleciał z jakiegoś biura i polował po gazetach i między znajomymi za posadą.

Przypadek chciał, że na drugim końcu Galicyi, powiedzmy w Żydaczowie, rozpisano konkurs na lustratora powiatowego. Jak się to uśmiechało p. Fabianowi! Jeździć cały rok, pić, polować, byle nie siedzieć na wyścielanem krzesełku! Trochę to było daleko od mamy, ale tem lepiej, będzie wolny — taty nie będzie.

Napisał podanie, a w kilka dni marszałek bardzo przychylnie zaprosił go, aby się zaprezentował, bo chodziło mu o »prezencyę«. Zrazu rodzice nie chcieli się zgodzić, bo jaki ten synek był, to był, ale przecie to jedynak. Ostatecznie ojciec dał mu z okładem na drogę, a na płacz żony machnął tylko ręką i rzekł:

— On tu i tak za parę dni wróci, zobaczysz...

P. Fabian podał p. marszałkowi telegraficznie dzień przyjazdu i puścił się w drogę.

Wieczorem był już we Lwowie, a że dopiero rano miał kolejowe połączenie, stanął w hotelu. Jeszcze nie był senny, za to był głodny, zeszedł więc do hotelowej restauracyi, przy bufecie zjadł dwie obkładanki, ongi zwane niewłaściwie »kanapkami«, pobaraszkował z »kasyerką« bez kasy, za to z wyniosłym ażurowym biustem i usiadł w odgrodzonym kąciku, zamówiwszy kolacyę.

Rozglądał się po suto ozdobionej sali tak, że kelner, stawiający mu kotlet uśmiechnął się, poznał faceta z prowincyi.

P. Fabian w najlepsze spożywał polskie potrawy o francuskich nazwiskach, gdy wtem jakaś nadobna »kelnerka« zapytała go: »A co pan dobrodziej zamówi sobie do picia?«, poczem wymieniła mu jakieś Medoki, Lafitte, Tokaja, Veuve Cliquot itd., pochodzące zazwyczaj z jednej fabryki.

Naturalnie, że p. Fabian nie dał się zawstydzić i zamówił to wino, co mu najłatwiej było nazwać.

Piękna usiadła, zaczął ją częstować i podczas jej szczebiotu ani spostrzegł, że już i druga tu siedziała, o innym typie piękności.

Rozmowa ożywiła się, ceremonialnie, ba moralnie i po literacku, bo o wszystkiem umiały coś powierzchownie gadać; flaszka szła za flaszką, zjadły kto wie dziś którą kolacyę na jego rachunek, a gdy miał dosyć, szepnęły »pardon« i frunęły.

Weszło właśnie wesołe grono utracyuszów, a tam były potrzebne — u p. Fabiana już zarobiły swoje i zarobiły »korkowe«.

Naraz zjawił się płatniczy, p. Fabian się opamiętał i zażądał rachunku.

Literalnie wszystko poszło na zapłacenie, co tylko miał — dobrze, że wystarczyło!

Zaciął zęby p. Fabian i poszedł na górę do zimnego pokoiku.

— Jak ja hotel zapłacę! — pomyślał i siadł na piecyku, jak Jeremiasz na gruzach Kartaginy, pardon: Troi — nie: Jerozolimy. — Jak ja się dostanę do Żydaczowa! Zapóźnię!

Cała groza położenia stanęła mu przed zamroczonemi oczyma: w obcem mieście, tak daleko, bez grosza, nikogo znajomego, coby się dał naciągnąć — strach! A co miał za to — ani żadnej nawet nie pocałował! Głupi był, trzykroć głupi, jak angielski osioł w Dardanelach!

Rano, za ostatek drobnych, co z wszystkich kieszeni wydłubał, zatelegrafował matce, że mu pieniądze zginęły i prosił o nowe.

Cały dzień o głodzie czekał na nie i przeklinał wszystko, co mu na myśl przyszło — tylko nie swoją lekkomyślność.

Poobgryzał wszystkie misternie wypielęgnowane paznokcie, nim flota nadeszła, ale zaraz potem, po gruntownym posiłku, pojechał — był to już trzeci dzień podróży!

Późno w noc zawitał do Żydaczowa i chcąc nie chcąc musiał stanąć znowu w hotelu, to jest w żydowskim zajeździe.

Brudna służąca przyniosła mu gęsinę, jakby zębami porozrywaną, chrzan z ćwikłami, jajka, śledzia dwa dzwonki i rzepę czarną w plasterkach, a na dobitek czarny rum z zimną herbatą.

Wprawdzie zastał w łóżku już parę gości, czekających na niego, to jest wypasione pluskwy i pchły, mimo to zasnął sprawiedliwym snem młodości.

Nazajutrz wykwalifikowany stanął przed marszałkiem.

— Ah, to pan! — zaśmiał się tenże — my tu 3 dni na pana czekali, bo chcieliśmy kogo »z prezencyą«. Hm, mocno żałuję, ale posada już obsadzona dzisiaj.

P. Fabian spuścił nos na kwintę, probował uzyskać jakieś koncesye, wreszcie przynajmniej coś na koszta — ale nadaremnie.

I jak ojciec przewidział — wrócił, jak syn marnotrawny w rodzinne progi ze stulonemi uszami. Ale na jak długo?...

Drobne wiadomości.

Cześć i chwała hrabinie Maryi Herberstein, ur. hr. Galen. Przezacna hrabina wykarmiła własną piersią obok swego dziecięcia dwie sieroty: Józefa Mandulkę ze Sanoka, urodzonego 29. grudnia 1914, którego matka zmarła po powiciu w szpitalu — i Paulinę Grabowską, urodzoną 8. lutego 1915 r., której matkę musiano umieścić w domu obłąkanych.

Niemiecka hrabina, której małżonek wspaniałomyślnie swój śliczny zamek Wurmberg, przy Pettau, jeszcze w jesieni dał do dyspozycyi polskich tułaczy — czynem tym szlachetnym pogodziła nas z niejednem przykrem uczuciem. — Ziomkowie, zapamiętajcie sobie Jej nazwisko i umieśćcie je w złotej księdze naszej martyrologii!

»Bosnische Post« ze Serajeva opisuje straszne położenie serbskich uchodźców, którzy przez niezgruntowane błota, wśród ulewy, uciekają do Raszki, Mitrowicy i Prisztiny. Wielu dąży do Czarnogóry, lub bez celu. Ranni żołnierze gromadami leżą bez pomocy po drogach i górach. Ogólny jest brak chleba i żywności.

Donosi dalej, że około 200 mieszkańców Bośnii, za targnięcie się z bronią na własne wojska i przyłączenie się do nieprzyjaciela, wydalono z kraju, po odebraniu im austr. przynależności.

Zakazane pieśni. C. k. Sąd krajowy jako prasowy w Młodym Bolesławiu (w Czechach) zakazał dalszego rozszerzania peryodycznego pisma »Sokolsky spevnik«, wydawanego nakładem Józ. Svitala w M. Bolesławie, a to dla pieśni: »Čtverteho czervence«, »Hej, Slovane«, »Jeszte Srbstvo nezniczeno«, Ku przedu, Marsylianka, »Onamo, onamo«, »Pisień ruskemu caru«, »Hola bratri!« Zakaz oparty jest na przepisach paragrafu 65 k. k. (zbrodnia zaburzenia spokoju publicznego, oraz par. 58 i 59 k. k. (zbrodnia zdrady stanu).

Już z tytułów łatwo poznać, jaką sympatyę Czesi mają ku wrogom kraju.

Jak w Rosyi sądzą o Austryi. W biurze cenzury dla jeńców w Wiedniu znaleziono temi dniami w liście z Rosyi, wystosowanym do jeńca, ustęp z zapytaniem, czy naprawdę w Austryi zabijają rosyjskich jeńców na tłuszcz dla ludności. Dziwne wyobrażenia rząd w Rosyi rozszerza, że upadliśmy tak nisko, aby takie świństwa zjadać.

Historyczne curiosum. 14-go lutego 1650 r. wydała rada deputowanych w Norymbergii następującą uchwałę:

Celem podniesienia stanu ludności przez wojnę wyniszczonej i w celach rekrutacyjnych, przez następne lat 10 kawalerowie i panny, niżej 60 lat, są wykluczeni od stanu duchownego. Księżom poza klasztorami i kolegiatami wolno się żenić. Każdemu mężczyźnie wolno 2 żony poślubić, jednak ma baczyć, aby jako uczciwy człowiek obu żonom nie sprawiał niepotrzebnych nieprzyjemności i postępował z należną dyskrecyą i opieką.

VERA P.

NA TUŁACZCE.

Z całą furą mebli i z workiem pieniędzy
Zbiegł bogacz przed Mochem i przed widmem nędzy —
Jam-li garść rzeczy porwała, dziecinę,
I ziemi ojczystej, czarnej odrobinę.
Lecz jakże mi drogie to, co mam przy sobie:
Rodna ziemia, drogie dziecię i żałość po tobie.

A gdy na obczyźnie z głodu, z nędzy zginę,
Posadźcie mi polską na grobie kalinę,
Rodzinną ziemię do trumny mi dajcie —
Ona z mej skiby — ze mną ją schowajcie.
Wy, Polki, matką bądźcie mej dziecinie.
Niech jak jej macierz u obcych nie ginie.

I do cię, małżonku, w drugim krańcu świata
Myśl niedośnionej lubości ulata:
Zostawię ci kwiaty z dawnych, słodkich czasów,
Storczyki, bławaty z lubyckich pól, lasów,
Gorącą serdeczną łzą zlane storczyki,
Te ci przed końcem ślę do Ameryki.

Niech ci przypomną te drogie godziny,
Wraz przemarzone pod krzakiem kaliny —
I te nadzieje, rozkosze i znoje — — —
Tak rozdzieliłam wszystkie skarby moje,
Zanim się rozstać przyjdzie ze swojemi,
Bo tak mi straszno na tej obcej ziemi!

Na starym gruncie.

Powieść

23) przez

M. Febroniusza.

(Dalszy ciąg.)

— Jest to przywilejem młodości, że ufa siłom swoim, ufa Oku Boga, które jest ponad światem, i ztąd przygnębić się nie daje okolicznościom. Że nie oglądała się w tył, poza siebie, choć tam zostawały dostatki i wszystko to, co za niemi idzie, więc po ukojeniu pierwszych, koniecznych wzruszeń smutnych, serce jej stało się lekkiem i otwartem dla wrażeń miłych i słodkich. Mówiła do ptaszków, patrzyła w głębie leśne, które były pełne świergotu i szmerów, przebudzeń do słońca i życia, do pracy i miłości i ta przyroda, która z jednej strony była też jej matką, zaczęła ją ogarniać i przyciągać na łono swoje, szepcząc łagodnie: Patrz w ten mój świat... I ty znajdziesz miejsce swoje wśród tego życia, które się pełni dokoła... Znajdziesz sobie twoje miejsce pod słońcem, do którego uśmiechnij się, bo ogrzewa...

Ale wkrótce wyjechała na otwarte pole i wśród pustej przestrzeni poczęło ją chwytać smutne uczucie samotności i jak gdyby małości, bezbronności swojej, ale nie dała mu się podbić — rozmarzyć i roztęsknić: rozżalać się nad dolą swą sierocą.

— Prędzej, siwku, prędzej!... — zawołała i gładząc kark konia, wypuściła go kłusem prawie.

Krew w niej rozgrzała się i zaczęła bić do głowy, rozrumieniła się i piękna, jaśniejąca życiem i młodością, jak

ten poranek letni, którego tchnienie ją owiewało, stanęła u wrót dziedzińca rudawickiego. Że szpalery grabowe otaczały go dokoła, więc z drogi nie można było nic widzieć, co tam działo się w głębi, a nie było i nic słychać, bo niedzielna cisza zalegała wszystko naokół. Wanda nie wiedziała też na pewne, która to jest godzina? bo nie miała już swego pięknego, brylancikami kameryzowanego zegareczka, który jej się dostał od ciotki wraz z pierwszą długą suknią dorosłej panny. Nie wzięła go ze sobą, jak nie wzięła nic, co nie było konieczną odzieżą, ale pomiarkowała po słońcu, że już być musi po szóstej.

Spojrzała w głąb dziedzińca i zobaczyła Stanisława, stojącego przed gankiem, a że i on ją spostrzegł jednocześnie, znalazł się więc natychmiast przy wrotach, aby je przed nią otworzyć, a ona zmieszała się nagle. Wśród planów swoich schronienia się do Rudawicy, zapomniała o nim. Nie rozmawiali ze sobą nigdy, lecz te kilka słów, zamienionych, gdy jej pomagał wsiadać na konie, układ jego cały, a głównie to, co p. Róża mówiła jej o nowym ekonomie, nie pozwalało zaliczyć go do zwykłej służby dworskiej i Wanda zmieszała się nagle na myśl, że ten człowiek obcy znajdzie się teraz obok niej i będzie świadkiem bolesnego dramatu jej życia. Szczególniej pierwsza chwila musiała jej być przykrą. P. Róży mogła, jak matce, klęknąć przy nogach i powiedzieć: »Jestem tu, bo nie mam się gdzie podziać«... Do ręki p. Michała mogła się również schylić i zawołać: »Ojcze! przyjmij mnie i utul bezdomną«... Lecz ten ktoś trzeci, ktoś nieznany, zmieszał ją, ale serce pięknej dziewczyny było dumnem, bo było czystem, jak z kryształu i nie chciała znosić ani chwili jednej niejasnego położenia. Gdy on, podawszy jej rękę przy zsiadaniu z konia, rzekł, że przy niedzieli jeszcze we dworze nic się nie rusza i on tylko musi robić honory przyjęcia tej tak wczesnej wizyty, ona odpowiedziała mu zaraz, natychmiast, że to nie jest wizyta.

— Przybywam tu, aby przygarnięto mnie litościwie, bo domu nie mam — rzekła. — Byłby to już od lat wielu mój dom, byłabym tu już od lat wielu jak córka, sędziwym rodzicom w starości ich służącą, ale okoliczności pokrzyżowały to i zmieniły los mój. Teraz też w losu tego chwili ciężkiej przybywam tu, jak do rodziców, o kąt gościnny, o przytulenie litościwe prosząca...

Łzy błysnęły jej nagle w oczach. Nie mogła ich wstrzymać, bo dotknięcie rany zabolało — nie mogła zapanować nad wzruszeniem, ale słabość ta nie trwała dłużej nad jedno okamgnienie. Szybkim ruchem ręki łzę otarła i podniosła żywo głowę:

— Chcę pracować, a jestem silna i zdrowa, więc wiem, że zdam się tu na coś, że nie będę jadła próżno chleba łaskawego — rzekła.

— Pan mi trochę pomożesz i drogę wskażesz — dodała łagodniej, podnosząc piękne oczy na Stanisława, który przed nią na stopniach ganku stał. Konia oddał chłopakowi stajennemu, który mu się szczęśliwie pod ręką znalazł, idąc właśnie do niego po dyspozycye co do wybrania się starych państwa do kościoła na nabożeństwo, ale zobaczywszy tu tak rano piękną amazonkę, otworzył na nią szeroko oczy, jak na zorzę jasną, i nie już nie powiedziawszy, konia z rąk Stanisława wziął i do stajni go wiodąc, na okólniku cicho nucić począł:

Za wrotami trawa, za wrotami murawa,
Złotem posypana...
Tacianka iszła, złoto nesła, złoto rozsypała...

Stanisław patrzył tymczasem na piękną pannę zadziwiony i wzruszony, lecz ona powtórzyła raz jeszcze z odcieniem prośby w głosie:

— Wszak tak?... pan mi pomoże...

Po naprężeniu uczuć, po szybkiej jeździe i jej zmęczeniu, zaczęła przychodzić teraz na nią reakcya. Uczuwała ogarniającą ją niemoc i potrzebę odpoczynku, oparcia się jakiegoś, więc mimowoli przyszły jej na usta te słowa: Pan mi dopomożesz...

W tej chwili okno tuż obok ganku otworzyło się i p. Róża wyjrzała z niego.

— Ty tu?... ty, dziecko drogie! — zawołała i w tej chwili Wanda znalazła się w jej objęciu, przytulona do jej ciepłej piersi.

— Matko moja! — szeptała i nie wstydziła się już teraz zapłakać.

— Matko — powtarzała — przyjmij mnie, bo nie mam żadnego, żadnego kąta na świecie... nie mam nikogo...

Stanisław cofnął się dyskretnie, ale wzruszenie jego było wielkie. Cała okolica wiedziała o tem, że p. Roman bywa często w Porzeczu. Wszyscy domyślali się w nim konkurenta i czekano końca historyi z ciekawością, która u wielu łączyła się z powątpiewaniem w stałość Wandy.

— Pójdzie — mówili — lata jej upływają, a dla panny, to wiele znaczy. Nie jedna już tak zmarnowała młodość w tęsknocie i cóż jej z tego przyszło? Choć się która doczekała szczęśliwego niby końca, to nie doczekała się szczęścia. Miłość jest to kwiat wiosenny i nikt nie przytrzyma, co z czasem ucieczc — zwiędnie, woń swoją utraci...

Byli przecież inni, kobiety zwłaszcza, które nie chciały przystać na taką teoryę życia i miłości. Stanisław zasłyszał nieraz, jak o tem rozprawiano i teraz spojrzawszy na tę dziewczynę piękną, jak wiosna i przywiódłszy sobie na pamięć tamtę — pomyślawszy, jak dla obowiązków dalekiej, niepewnej przyszłości, która dać może ledwo okruch szczęścia, rujnuje sobie teraźniejszość, zrzeka się majątku, wygód, stanowiska i wreszcie tego, naturalnie upragnionego przez kobietę szczęścia, aby słaba oparła się na mocniejszem ramieniu kochającego ją człowieka, uczuł dla Wandy taki szacunek, taką cześć, że odrazu przestał lękać się dla siebie tego niebezpieczeństwa, którem grozić mu się zdawało przebywanie z nią ciągłe.

— A cóż będzie, jeżeli pokocham się tak, jak ludzie nieraz kochają: szalenie, namiętnie? — zapytał się wtedy siebie z przestrachem, kiedy Wanda, podnosząc na niego swoje czarne, aksamitne źrenice, prosiła go, by jej był nauczycielem w pracy poświęcenia i ofiary. On, słyszący jej głos słodki, patrzący na nią śliczną, jak ta zorza jasna, o której śpiewał Iwaś, jedno tylko spojrzenie rzuciwszy na nią — on czuł, że głowa zawracać mu się zaczyna.

— Cóż, jeżeli zwaryuję dla niej i dzieła mego nie dokonam, pokuty nie dopełnię, znajdę się znowu, jak ptak z przestrzelonem skrzydłem, z jedną raną w sercu więcej, z pogardą już dla siebie ostatnią?...

Ale zwolna zaczął się tak przed nim podnosić majestat jej cnoty niewieściej, że uwielbienie przeważyło nad wszelkiem innem wrażeniem, nad wszelkiem innem uczuciem. — Nie — rzekł sobie w chwili, gdy Wanda wyciągając ręce do p. Róży, zawołała: »Matko, przyjmij mniej!«. Nie, nikt nie szaleje dla świętej, nikt dla świętej nie traci rozumu i pamięci, bo świętą czci się na kolanach.

I tego tylko nie mógł wymódz na sobie, aby tej świętej nie pokazać coś z uczuwanej czci swej. Gdy Wandzie draperya długiej sukni, wymknąwszy się z poza paska gdzie ją sobie przymocowała, stała się nagle przeszkodą w przejściu z ganku do pokoju jadalnego, dokąd ją p. Róża na śniadanie wzywała, on się nagle schylił i kraj jej sukni ująwszy, do ust podniósł. Ją oblał wtedy rumieniec gorący. Zmieszała się i cofnęła nieco w tył.

Serbska artyleryа ostrzeliwa za Semendryą nasze stanowiske

Serbskie dzieło „zranione" przez austr pocisk (12. listop br.)

— A... co pan robisz? — rzekła z pewnym wyrzutem w głosie.

— Relikwii dotykam — odparł Stanisław, a w spojrzeniu jego, które się wtedy z jej wzrokiem zbiegło, nie nie było nic, coby raz drugi oblało rumieńcem lice dziewicze.

— Entuzyasta pan jesteś rzekła z cicha i wyciągnęła do niego rękę, jak do przyjaciela i stanął wtedy między nimi jak jakiś pakt dobry pomocy wzajemnej, w milczeniu zawiązany. Wanda uczuła, że jest bogatszą o jedno oddane jej całkiem serce; Stanisław przestał się lękać jej przytomności, jej przebywania pod jednym z nim dachem.

Nie niebezpieczeństwo i słabość, ale siła i wytrwałość mogła mu tylko iść od niej i życie jego zyskiwało nagle nowy i wysoki interes.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Humor i satyra.

Polny marszałek Mackensen lubi wieczorem gromadzić oficerów koło siebie przy piwie i przekąsce. Pewnego wieczora, gdy na kolacyę były tylko zimne obkładanki, któremi się wzajem częstowano, zobaczył Mackensen w kącie majora, którego znał dawniej, a przed którym stał talerz z 8 obkładankami.

Aby go rozruszać, przywitał go i zapytał:

— Prawda, stary przyjacielu, że pan ma ich 8? — przyczem miał na myśli ośmioro dzieci majora.

Ten, budząc się z zamyślenia i patrzenia w talerz, odezwał się na to:

— Tak, ekscelencyo, a 3 mam od ekscelencyi K.

Powstał homeryczny śmiech, bo wszyscy zaraz pojęli nieporozumienie, a major dopiero po chwili zoryentował się, że Mackensen pytał nie o kanapki, ale o dzieci majora.

•

Dobra firma. Spotyka się dwóch bankierów i jeden drugiego pyta:

— Komu wolałbyś pożyczyć milion rubli — carowi, czy Mikołajowi Mikołajewiczowi?

— Ja carowi, bo słyszałem, że ma ogromne dobra na Sybirze, a więc ma dobrą hipotekę.

— A ja wolałbym pożyczyć Mikołajowi Mikołajewiczowi!

— A to dlaczego?

— Bo, widzisz, to jest pewna firma. Wziął Lwów — oddał, wziął Przemyśl — odddał, wziął Nowy Sącz — oddał i jeszcze dodał to, czego nie brał. To jest człowiek, który lubi oddawać, a tylko takim ludziom warto pożyczać.

Pani Afterduft chwali swego syna przed matką przyszłej jego narzeczonej:

— Jaki on jest czysty, aj-waj! Już miesiąc, jak mu powiesiłam ręcznik, a ten ręcznik jeszcze cały jest czysty. Nu? co pani powie do tego?

Naczelny wódz południowo-zachodniej armii Arcyksiecia Eugeniusza X. Obok niego Arcyksiążę Józef, poniżej marszałek polny por. Krauss.

Redaktor naczelny: Dr. W. Placzek. Redaktor odpowiedzialny: Karol Kozłowski. Wydawca: „Kurjer Polski". Drukarnia J. Killa, Mor. Ostrawa.

Biblioteka Publiczna im. Józefa Piłsudskiego CENTRALA 024 ZBIORY SPECJALNE CZASOPISMA